



# Wojciech Czus Z innych źródeł

SEGOJA



# **Wojciech Czus** **Z innych źródeł**

SEQOJA

Redakcja

ELŻBIETA KUSZMIDER

Korekta

MARTA BLUSZCZ

Okładka

ZOFIA STYBOR

Skład

KATARZYNA KRZAN

Druk i oprawa

Bookpress.eu

Copyright © by Wojciech Czus 2026

Copyright © for this edition by

Wydawnictwo Seqoja 2026

ISBN druk: 978-83-67935-50-0

ISBN e-book: 978-83-67935-51-7

Wydawnictwo Seqoja

ul. Żołnierska 11B/20, 10-558 Olsztyn

tel. 534 834 852

e-mail: [info@seqojawydawnictwo.pl](mailto:info@seqojawydawnictwo.pl)

[www.seqojawydawnictwo.pl](http://www.seqojawydawnictwo.pl)

Olsztyn 2026

wydanie I

## Czarne epizody

### I

Ojciec mówił, że to on zbudował ten kościół. W czynie społecznym, który był protestem przeciwko czynom społecznym. Zbudował go nie ku chwale bożej, ale na pohybel komunistom. To był kościół wzniesiony z nienawiści.

„Dla ciebie go budowałem”, tłumaczył, choć wtedy mnie jeszcze nie było na świecie. Urodziłam się po wielu latach. Późne dziecko, radość i pomoc dla starzejących się rodziców.

Pokazał mi zdjęcie z budowy. Mówił: „Moje zdjęcie”. Był na nim, owszem. Na drugim planie, w kraciastej koszuli, wpółodwrócony, z twarzą skrytą w cieniu. Bliżej obiektywu – ksiądz proboszcz, w sutannie i birecie, z ręką wyciągniętą nad stosem cegieł. Wokół niego budowlańcy z czapkami w dłoniach.

Kochałam ten kościół, dopóki sama się z niego nie wyrzuciłam. W naszym miasteczku, gdzie wszystko było nowe, on był najnowszy, a jednak najstarszy. W miasteczku wzniesionym wokół fabryki, dla fabryki, gdzie większość ludzi mieszkała w blokach z wielkiej płyty, szaroburej, on był jak biała skała, która wyszła z ziemi, by górować i panować nad wszystkimi.

Szerokie schody, jasne podcienia, rzeźbione wrota. W środku – ogrom schwytyany w pułapkę. Wąskie okna,

krągłe kolumny, sklepienie z sękatych desek. I posadzka – z kamienia starszego niż człowiek, z kamienia przedpopowego, ciętego w płyty, które odsłaniały warstwy prehistorii. Spiralne muszle, rude żyły, niezbadane kształty.

W lecie było w nim chłodno, zimą chronił przed mrozem. Pachniał drewnem, kurzem i kadzidłem. Unosił się śpiewem i huraganem organów, potem znowu opadał w ciszę.

Nie było w nim Boga, była Matka Boska w złotej sukience. Czarna Madonna na ciemnym ołtarzu. To ją się czciło, okadzało, jej się śpiewało, przed nią padało na kolana. Czuję te ścierpłe kolana po dziś dzień, czuję piasek wbijający się w skórę.

Aż w końcu znalazł mnie tam człowiek ubrany w albę. Pokazał mi wszystkie zakamarki, o których marzyłam. Zaprowadził do zakrystii, wspiał się ze mną na chór, pozwolił zasiąść za manualami. Potem zesliśmy do piwnicy, odgarnęliśmy ze stołu sztuczne kwiaty, ja się położyłam, a on mnie nagrywał.

Nie mogłam się z tego wyświadczać. Pokazać, że żyję w grzechu, też nie mogłam. Dlatego żyłam jak wcześniej, przyjmowałam ciało Chrystusa i pozwoliłam się namaścić krzyżmem świętym. Wiedziałam, że tylko się pograżam. Z każdą wizytą w kościele. Niżej i niżej, w brudną maź.

## II

Rodzice znowu zapomnieli zapłacić rachunek za prąd. Już im nie wierzyłam. Siedzieli w ciemnym pokoju nad butelką, próbując wykrzesać z siebie trochę światła. Ja w kuchni, przy oknie.

Dom po drugiej stronie wąskiej drogi. Podobny do naszego, a jednak niepodobny. Ocieplony, świeżo malowany. Kiedyś otaczały go wysokie krzewy, teraz – podjazd z betonu, wystrzyżony trawnik. Dom, który można i należy pokazywać.

Dwa okna. To po lewej – rozświetlone. Przez zasłony przezierają trzy żarówki żyrandola i wielki ekran, który miga wieloma barwami. Domyślam się scen: twarz postaci, która coś mówi, cięcie, kolejna postać, cięcie, pościg.

Okno po prawej interesuje mnie bardziej. Zasłony są rozsunięte, ale w środku jest ciemno. Czekam, czy i tam zapali się światło. Może dostrzegę chociaż jakiś ruch.

Jest. Przechodzi koło okna, znika w głębi, w czerni. Widzę go z powrotem, gdy rozbłyśka monitor. Zarys jego głowy na tle jasnego prostokąta. Czy to on? Chyba on. Kręcone włosy. Cherubin w komeźce spod ołtarza.

Odruchowo nachylam się ku szybie. Nic ciekawego jeszcze się nie dzieje. Ekran świeci, cherubin siedzi bez ruchu.

Chyba się odwraca. Cień porusza się, zmienia. Obejrzał się w moją stronę. Zobaczył tylko martwy dom.

Też włącza film. Inny niż tamten. Wzrok mam dobry. Widzę, że opuścił się niżej na krześle. Widzę miarowy ruch.

To trwa tylko chwilę. Wyłącza film, wstaje, podchodzi do okna. Nie wie, że już za późno. Rozkłada ręce i sięga do zasłon.

I wtedy u nas wraca prąd. Rozbłyśka lampa u sufitu. I widzę go, jak on widzi mnie, przyklejoną do szyby. Okno w okno.

Prędko zasłona zasłony, jakby zakrywał swą nagość.

Słodki cherubin. Czuję jego wstyd, jego strach. Ile ta wariatka sąsiadka tak naprawdę zobaczyła? Nie będę go długo trzymała w niepewności. Pójdę jutro, zapukam. Może teraz zechce ze mną porozmawiać.

Odrywam się od okna, przez uchylone drzwi zaglądam do pokoju obok.

– Zgaś to – mówi ojciec. Matka posłusznie wyłącza światło, wraca na miejsce. Butelka jeszcze w połowie pełna. Zamykam drzwi, żeby im nie przeszkadzać.

### III

– Córcia, kiedy będzie zima? – pyta ojciec.

– Jest – odpowiadam.

– Już? – Próbuje się podnieść na poduszkach i wyrzecz na zewnątrz. – Chyba nie.

– Nie ruszaj się, proszę. Jest styczeń.

Myśli, aż twarz wykrzywia mu bolesny grymas.

– Teresa, co ona wygaduje?

Matka śpi w fotelu, pochrapując.

– Święta były?

– Były.

– A tak, były. Dobre święta.

Zapinam mu nową pieluchę, przykrywam kołdrą.

– Muszę iść.

– A jak w gieesie? Wszystko dobrze?

– Gieesu już dawno nie ma, tato. Teraz pracuję w Lidlu.

– Lidlu? – dziwi się i znowu próbuje podnieść, jakby spodziewał się zobaczyć sklep za oknem. – A w Lidlu dobrze?

– Nie narzekam. Muszę jechać.

– Córcia, jak jest zima, to dlaczego nie ma śniegu?

– Bo nie spadł.

- A był?
- Przez chwilę.
- To niedobrze, córcia. Mróz nie trzyma?
- W nocy są przymrozki, ale za dnia puszcza.
- To niedobrze.
- Po co ci śnieg i mróz, tato? Tak nie lepiej?
- Dziecko, nie... Przyroda musi odpocząć.

Uśmiecham się. Przed wyjściem szturcham matkę. Przebudza się, szepczę jej do ucha:

- Nie dawaj mu już pić.

Matka wzrusza ramionami.

Wyjeżdżam z płataniny uliczek na główną drogę i skręcam do miasta. Mijam dom weselny, rzekę, remizę, kościół, ale zanim wjadę na blokowisko, zjeżdżam na bok, w mały lasek. Powoli przetaczam się przez błoto, zatrzymuję. Otwieram okno, zapalam papierosa. Wypuszczam kłęby ciepłego dymu, które w zimnym powietrzu bieleją, potężnieją.

Zgadzam się z nim. Zima jest potrzebna – taka prawdziwa. Z mrozem, który trzyma miesiącami. Żałuję, że nam ją zabrano.

Zima to dno, pod którym nie ma już nic. Szansa na nowy początek. Można złapać oddech, a potem się odbić od powierzchni, twardej, zgrudziałej. Bez zimy pozostaje tylko grzęznąć w szlamie, daremnie szukając punktu oparcia.

Telefon dzwoni. Wiadomość od syna. Prosi, żeby mu kupić parówki. „Mama już jedzie”, odpisuję, ale nigdzie się jeszcze nie ruszam.

## IV

A teraz pochwała życia! Tylko nie wiem, jak zacząć. Może tak:

Ledwo zaczęliśmy ze sobą chodzić, od razu zdurniałeś. Pamiętasz, jak wyjawiliśmy sobie wszystkie nasze tajemnice? Pierwsza od lat szczerą spowiedź. Były nawet łzy.

A potem ściałeś włosy, cherubinie, ściałeś swoje złote loki, choć ci mówiłam, żebyś tego nie robił. Matka cię zwyżwała, jak tylko wróciła do domu. Ale ty się już matki nie bałeś. Nikogo się nie bałeś. Zmężniałeś, stwardniałeś. Nikt cię już nie skrzywdzi. Masz szerokie spodnie i puszczasz hip-hop z komórki, kiedy idziesz przez miasto. Tylko ja wiem, czego słuchasz w domu i że kręcą cię rzewne piosenki.

Mówiłam ci: jeszcze dwa lata i stąd wyjedziemy.

Dni były gorące, komary cięły jak szalone. Narzekałam:

– Całe lato zmarnowane! – Śmiałeś się. – Głupie komary tak ci przeszkadzają?

– Ciebie może nie chcą – odpysknęłam. – Ja mam słodką krew. Do mnie lecą jak pszczoły do kwiatów.

– Jakich kwiatów? – Znów się śmiałeś. – Jakim ty kwiatem niby jesteś? Chyba kalafiorem.

– Kalafior to ci na chuju wyrasta. Teraz będzie foch, dopóki mi kwiatka nie przyniesiesz. Leć do kwiaciarni i paraduj potem z takim przez całe miasto, jak ósmego marca. Dopiero będziesz wyglądał po męsku.

– Już ci do kwiaciarni polecę – parsknąłeś. A potem przyniosłeś mi cały bukiet zerwany nad rzeką.

– Podobno w Tarnobrzegu odkomarzają – powiedziałeś. – Chcesz pojechać?

– Tak, chcę! A bilet mi kupisz? A pójdziemy do kina?

– Jakiego znowu kina? Kupimy wino i pójdziemy na cmentarz.

– Na cmentarz cię ciągnie, palancie? To jedźmy. Lepiej tak niż znowu siedzieć z twoimi kolegami debilami. Cmentarze są romantyczne.

Tego dnia wyjawileś mi swój plan. Czy to było tam, między grobami? Pewnie nie, to byłoby zbyt piękne. Dopiero później, jak wracaliśmy busikiem do domu. Byłeś zdrowo najebany. Ja się niezdrowo podnieciłam. Tak zrób.

Lubiłam to nasze wyjawianie.

Poszłam z tobą. Chyba po to, żeby patrzeć, jak się wycofujesz. Jak obracasz wszystko w żart.

Obróciłeś wszystko w proch.

Podobno wiedziałeś, że nikogo w środku nie ma. Że wszyscy balują na urodzinach u biskupa. Noc była tak samo gorąca jak dzień. Zaraz stała się gorętsza.

Wybiłeś szybę, wszedłeś, czekałam z bijącym sercem. Wskoczyłeś tą samą drogą, uciekłeś. Jakbyś o mnie zapomniał. Ja jeszcze długo patrzyłam.

Góra ognia i chmury komarów w koronach drzew.

Pytali mnie, dopóki im nie powiedziałam. Cherubinie, przepraszam.

## V

Wielka awantura w domu, bo kupiłam nie takie parówki.

– Mama, przecież ty wiesz, jakie lubię.

– Lepsze ci kupiłam.

- Ale ja tych nie chcę.
- Gabryś, nie będziesz jadł byle badziewia. Te są lepsze, patrz, sto procent szynki.
- Co to znaczy, że sto procent?
- Nie wiesz? Że w całości z szynki. Nie mieliście już procentów?
- Jak w całości, to to jest po prostu szynka.
- Nie do końca.
- Jak to nie? Wy tłumacz.
- Nawet jeżeli, to co z tego?
- Ja nie prosiłem cię o szynkę, tylko o parówki.
- Mąż się wtrąca znad szklanki whisky:
- Nie możesz mu kupić takich, jakie chce? Co ci szkodzi?
- Mnie nie szkodzi, jemu szkodzi. Wiesz, że to sam badziew.
- Mama, ale jaki badziew? Zwierzęta powinno się zjadać w całości.
- Słucham?
- Skoro je zabijamy, powinniśmy je zjadać w całości.
- Co to ma do rzeczy?
- Człowiek pierwotny używał każdej części ciała zwierzęcia. Mięsa, skóry i kości.
- Nie mam już do was siły.
- Myszko, nie bądź taka święta. – Mąż podchodzi ze szklanką w rękę. – Po to człowiek ma żołądek, wątrobę i osiem metrów jelit, żeby sobie poradzić z każdym szajsem. No, pewnie Gabryś ma dopiero ze cztery. Tak czy owak, układ pokarmowy trzeba ćwiczyć. Jak nie ćwiczysz, to ci potem wszystko szkodzi.
- Uśmiecha się szelmowsko do Gabrysia, a ten wybucha śmiechem.

– Dajcie mi spokój – proszę i żądam.

Mąż mnie obejmuje.

– Nie denerwuj się. Pójdę mu po te parówki.

– Dziękuję.

Idę do sypialni, kładę się na łóżku. Wystarczy, wystarczy. Odgonić to doczesne szczęście. Muszę zaspokoić inne potrzeby. Zamykam oczy. Przywołuję fantazję sprzed lat.

Leżę naga. Ktoś goli całe moje ciało. Nogi, krocze, pachy, wszystkie włosy na głowie razem z brwiami. Bierze nóż i rozcina skórę. Czyste cięcie od gardła aż po pochwę. Wkłada ręce pod płaty skóry i odsłania.

Inne ciało, świetliste. Dźwięczne. Spokojne.

## **Spis treści**

<b>Czarne epizody</b>	<b>4</b>
<b>Obraz i podobieństwo</b>	<b>13</b>
<b>Przeszłam wszystkie krainy, nie zdobyłam jednego trofeum</b>	<b>33</b>
<b>Wonderful Copenhagen</b>	<b>50</b>
<b>Ta wyspa była kiedyś górą</b>	<b>59</b>
<b>Sen Augusta Zaleskiego</b>	<b>90</b>

SEQOJA